

25 lat Szkoły Tenisa
Tie Break





Inwestycja

Być może tę historię dałoby się opowiedzieć w jeszcze większym skrócie – w jednym, a nie w pięciu odcinkach, lecz wtedy nawet najważniejsze wydarzenia nie potoczyłyby się we w miarę logiczną całość. Można też opowiedzieć ją z większymi detalami, jednak w tym przypadku ryzykowalibyśmy, że czytelnik nie zechce zaczekać na ostatnią kropkę.

Kto wie, może ta historia mogła zacząć się gdzie indziej – w innej dzielnicy albo nawet w innym mieście? Nie mogła jednak zacząć się wcześniej niż 25 lat temu. Za późnej komuny Bernard Rejniak, trener tenisa, krążył między Polską a RFN, aby zapewnić chleb pięcioosobowej rodzinie. Tam zarabiał, tu wymieniał i wydawał, jednak w nowym ustroju marka wymieniona na złotówki straciła sporo dawnego uroku.

Wtedy Bernard Rejniak zaczął krążyć głównie między Mokotowem a Ursynowem. Raz był trenerem, raz dzierżawcą kortów, ale ciągle czegoś mu brakowało. 15 października 1991 zarejestrował Szkołę Tenisa Tie Break z adresem w bloku przy ul. Lachmana i zaczął rozglądać się za kortami.

Na początek wydzierżawił „powierzchnię kortową” od Spółdzielni Mieszkaniowej „Stokłosy”, a już rok później można było na niej grać. W 1994 oba korty zostały przykryte balonem i awansowały do kategorii obiektów całorocznych. Bernard Rejniak dzierżawił wtedy również korty przy ul. Sobieskiego i nie narzekał na brak chętnych do gry.

O pieniądze się nie bał, bo zaoszczędził. Niepokoili go jedynie warunki dzierżawy – na trzy lata i z zaledwie trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia. Żeby urzędnicy nie potraktowali Tie Breaka jak zakładu szewskiego, Bernard Rejniak postawił na grupy sportowe. To już nie był klub, w którym trenerzy z koszykiem piłek obsługiwali panów z brzuszkiem; to już był klub, który szkolił dzieci i młodzież – tu pierwsze kroki stawiał na przykład Piotr Gadomski; bywało, że 338 tenisista świata.

Grały, bo nie mogły nie grać, także córki Bernarda Rejniaka – Magdalena (rocznik 1978), Olga (1980) i Karolina (1986). Najstarsza miała już za sobą pierwsze mecze o punkty WTA, kiedy „ojciec-dyrektor” – jak wkrótce zaczęli go żartobliwie nazywać warszawscy dziennikarze – dowiedział się o dopiero co zwolnionym terminie w kalendarzu ITF. Natychmiast podjął decyzję, że zorganizuje turniej, aby już nie prosić się o „dzikie karty” dla swoich dzieci.

Pół Warszawy puknęło się w czoło, że nikomu nieznany facet chce zorganizować zawodowy turniej nie mając ani kortów, ani sponsorów. Po obiekcie zgłosił się do Ursynowsko-Natolińskiego Towarzystwa Sportowego, dysponującego pięcioma kortami przy ul. Hirsfelda. Po pieniądze poszedł do Ery GSM (poprzednika T-Mobile), do budżetu dołożyła się gmina i jeszcze kilka mniejszych firm – i tak w 1996 roku na „pożyczonych” kortach odbył się pierwszy Ursynów Cup i tak zakończyła się pierwsza pięciolatka ST Tie Break.

Przedpokój sławy

Świat wciąż nie miał pojęcia o istnieniu Agnieszki Radwańskiej. Ursynów – szczerze mówiąc – też jeszcze o niej nie słyszał, lecz już przygotowywał się na jej przyjazd. Przede wszystkim organizacyjnie i logistycznie. W 1997 roku Bernardowi Rejniakowi odpadł je-



den kłopot – na Stokłosach były już cztery korty pełnowymiarowe i piąty tylko do singla. Na turniej z 10 tysiącami dolarów w puli nagród w sam raz.

Powie ktoś, że phi, że tylko 10 tysięcy, że turniej, jakich wiele... Trudno w to uwierzyć, ale niektóre polskie challengery nigdy nie cieszyły się takim zainteresowaniem mediów jak wówczas Ursynów Cup. Jedni z poczucia zawodowego obowiązku spędzali przy kortach pół dnia, drudzy przyjeżdżali tylko na mecze Polek, innych najmocniej przyciągał codzienny grill, ale turniej był obecny wszędzie – w prasie lokalnej i ogólnokrajowej, w radiu i w telewizji. Dziś specjaliści od marketingu szybko wyliczyliby, jaka była wartość medialna takiego przekazu.

Tenisowa „Hall of Fame” musi mieć przedpokój, wiele przedpokojów. Tenistka stojąca przed mikrofonem albo obiektywem mogła mieć na Ursynowie swoje jedyne pięć minut w całej karierze, bo drugiego wywiadu już nigdy nie udzieliła. Inna, która odpadła i nikt nie zdążył zwrócić na nią uwagi, mogła potem zrobić wielką karierę i wygrać nawet Wielkiego Szlema. Historia Ursynów Cup zna taki przypadek.

W 1999 roku Anna Bieleń-Żarska (wówczas jeszcze tylko Żarska) wygrała w trzech setach z jakąś 18-letnią Rosjanką. Wtedy nikt tego nie zauważył – raz, że to dopiero pierwsza runda eliminacji; dwa, że żadna niespodzianka, bo to był ich trzeci pojedynek i trzeci wygrany przez Polkę. Zaledwie pięć (!) lat później ta Rosjanka – Anastazja Myskina – została mistrzynią Roland Garros.

W tym okresie na Stokłosach stanął nowy domek klubowy (od 2013 roku służy już innym właścicielom). Bo chociaż Bernard Rejniak inwestował, to – jak dziś wspomina – „dopiero wtedy firma zaczęła utrzymywać rodzinę, a nie rodzina firmę”.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wydzierżawił na pięć lat teren przy ul. Koncertowej. Zapraszał znajomych, także dziennikarzy, i pokazywał im, co zamierza tam zbudować. Oni nie dowierzali, bo widzieli tylko ziemię porośniętą krzakami i chwastami, on widział już korty i domek klubowy. Zaledwie półtora roku później okazało się, że widział lepiej.

Magdalena Rejniak, najstarsza córka właściciela Szkoły Tenisa Tie Break, kariery w zawodowym tenisie nie zrobiła. Ktoś powie, że niestety, ktoś inny, że nie ma tego złego... W każdym razie już w trakcie studiów na Uniwersytecie Warszawskim a potem w Szkole Głównej Handlowej nie musiała szukać pracy w pośredniaku. Miała co robić w klubie – na przykład nadzorować program Twoja Era. Wszystkie przedszkolaki z Ursynowa zostały „przeświecone” pod kątem uzdolnień tenisowych.

Programy z upowszechnianiem tenisa we wspólnym mianowniku to specjalność zakładu. Opowiemy o niej w następnej pięciolatce.



Jak Kania po deszczu

Kania musi być zapisana wielką literą, ponieważ chodzi o Paulę Kanią. Paula ma poczucie humoru i na pewno nie obrazi się za porównanie, że na Ursynowie i wszędzie tam, dokąd docierały pomysły z Ursynowa, następował wysyp talentów tenisowych. Zupełnie jak w tytule, o czym nieco później.

10 lat to dobra okazja, żeby poświętować, powspominać i trochę się pochwalić. I jeszcze lepsza, aby opowiedzieć gościom o planach na ciąg dalszy. W Tie Breaku tej okazji nie zmarnowali – do Szkoły Podstawowej nr 319 (gdyby ktoś nazwał tę placówkę podstawową szkołą tenisową, to chyba by się nie pomylił) zaprosili ok. 250 gości. W przekonaniu ich, że klub idzie dobrą drogą, pomogły dzieci, które już od roku albo nawet dwóch brały udział w programie „Twoja Era”.

Wtedy ten program bardzo wyprzedzał swoją epokę. Dziś już prawie wszyscy mówią o upowszechnianiu tenisa, choć niektórzy tylko mówią. Tie Break jest natomiast prekursorem minitenisa, który znakomicie przygotował grunt pod ITF-owski „Tenis 10”. W skrócie działało to tak: w kilku dzielnicach Warszawy „prześwietlano” wszystkie przedszkolaki, a te, u których trenerzy zdiagnozowali smykałkę do sportu, ćwiczyły w klubowej szkółce. Rodzice płacili symbolicznie, a kwoty niesymboliczne brał na siebie sponsor, czyli Era. Po trzech latach najzdolniejsze dzieci trafiały do klasy sportowej właśnie w SP 319 (podziękowań dla dyr. Sabiny Januszko nigdy za wiele).

Ten system objął cztery roczniki. Stąd się wziął na przykład Piotr Gadomski, przyszły zwycięzca trzech turniejów singlowych i dziesięciu deblowych ITF Men's Circuit, dwa lata temu 338. tenisista świata. On i jego koledzy sprawili, że Tie Break był wtedy mazowiecką potęgą zarówno pod względem liczby

graczy, jak i wyników osiąganych w kategoriach młodzieżowych. Kadetki i skrzaty zdobyli nawet drużynowe mistrzostwo Polski, a Julia Jagodzińska medal MP junierek.

Zmienił się właściciel Ery, skończyła się złota era. Bez wsparcia sponsora klub nie mógł już prowadzić zajęć na taką skalę, ale ich nie zaniechał. Własnymi siłami propagował minitenis nie tylko na Ursynowie i w okolicach, ale zarażał tym pomysłem wszystkich chętnych. Trenerzy ST Tie Break Krzysztof Walter (wszystkim znany jako „Mazzi”) i Jacek Multan stali się ogólnopolskimi autorytetami w tym zakresie i współautorami podręczników służących dziś chyba wszystkim, którzy pracują z najmłodszymi adeptami tenisa.

Nie, nie zapomnieliśmy o Pauli Kani. To właśnie ona wygrała jeden z cykli turniejów Bank Pocztowy Cup – Z rakiętą do Europy. Zawody dla skrzatów i młodzików, sponsorowane przez ten bank, w latach 2004-2006 odbywały się w kilkunastu miastach. W 2006 ich patronem nie tylko medialnym, ale i tytułarnym był już magazyn „Tenisklub”, którego pomysł mógł się urodzić tylko na Ursynowie (pierwszy numer ukazał się we wrześniu 2005, a setny w czerwcu 2016).

Pod koniec trzeciej pięciolatki Tie Break zarządzał kortami już nie tylko przy ul. Koncertowej i na Stokłosach, lecz także na terenie SGGW i na Kabatach. Firma stała się tak wiarygodnym partnerem, że inne podmioty – w tym przypadku uczelnia i spółdzielnia mieszkaniowa – chętnie oddawały jej obiekty w dzierżawę.

„Kwatera główna” też nie wyglądała już tak samo jak pod koniec poprzedniego odcinka. Nowy domek klubowy, jaki znają jego stali bywalcy, stanął w 2002 roku. Jeśli coś można mu zarzucić, to chyba tylko brak parkingu wielopoziomowego. Są takie dni, kiedy na tym jedynym wszyscy chętni nijak się nie mieszczą.



You know who...

Chyba już nie da się ustalić, kiedy dokładnie to się stało, ale przypomnieć warto. Jedna z dziennikarek, grywająca w tenisa amatorko, i to na poziomie nieprzesadnie zaawansowanym, postanowiła napisać reportaż uczestniczący. To taki gatunek dziennikarski, w którym twórca staje się także twórczynią. Pani redaktor zgłosiła się do eliminacji, ale nie знаła regulaminu i na swój jedyny mecz (o drugim chyba nawet ona sama nie myślała) nie przyszła. Być może do dzisiaj jest na liście dłużniczek ITF (kara za niestawienie się na mecz wynosiła wtedy bodaj 50 dolarów).

Inni warszawscy dziennikarze nie są notowani w ITF, ponieważ Tie Break organizował turnieje wyłącznie dla kobiet. Grać więc nie mogli, za to chętnie bywali na Stokłosach i przy Koncertowej. Bywały sezony, kiedy Bernard Rejniak i jego ekipa zorganizowali na swoich kortach aż dwa turnieje: Ursynów Cup i BGŻ Cup.

Nie wiercie dziennikarzom, jeśli będą mówili, że już wtedy przewidywali to czy tamto. Możecie natomiast im wierzyć, że w bardzo licznym, jak na rangę turnieju, gronie oglądali pierwsze zawodowe zwycięstwo Agnieszki Radwańskiej. Jeśli spojrzycie na ranking WTA, to wszystkie z sześciu najwyższych dziś sklasyfikowanych Polek chociaż raz zajęły po punkty i dolary na Koncertowej. „Isia” wygrała („Tenisklub” nie zdążył o tym napisać, bo powstał kilka miesięcy później), Magda Linette przebiła się przez eliminacje, Urszula Radwańska i Katarzyna Kawa przegrały w finale, Paula Kania odpadła w półfinale, a Katarzyna Piter z „dziką kartą” dwa razy już w pierwszej rundzie odbiła się od rozstawionych rywalek. Magdy Fręch nie było, bo była za młoda.

Przez 10 lat Ursynów miał filię w Olecku. Bernard Rejniak przekonał kogo trzeba, że turniej to świetny sposób i na promocję miasta poza sezonem, i na przyciągnięcie na korty dzieci i młodzieży. Do dziś w „Ignasiówce” (domku klubowym), jak w muzeum, przechowywane są tablice z drabinkami. Zapytajcie o nie, jeśli tam kiedyś będziecie. Od razu też dowiecie się, które z uczestniczek turnieju przebiły się później do czołówki WTA. Tu tylko trzy przykłady z pierwszej „50”: Agnieszka Radwańska (numer 2), Karolina Pliskova (7), Marta Domachowska (37). I o Klaudii Jans-Ignacik, finalistce Roland Garros w mikście też wypada wspomnieć.

Barbro Raabe nie była sędzią naczelną zaledwie dwóch, może trzech turniejów organizowanych lub współorganizowanych przez Tie Break. W domu w Asker ma album, w którym przechowuje drabinki wszystkich zawodów, które prowadziła. Ursynów i Olecko – nie mamy powodów nie wierzyć – to jedno z jej najbardziej ulubionych miejsc pracy.

W Olecku Barbro miała zwyczaj wychodzić przed pierwszymi meczami na balkon i zapowiadać przez mikrofon, kto z kim i na którym korcie. Nie zrezygnowała z niego nawet wtedy, gdy Magdalena Kiszczczyńska szykowała się do meczu z Veroniką Czwtrniczkową.

– Magdalena Kisz-sz-czyn-ska – już na tym nazwisku omal nie potłamała sobie języka, ale walczyła dalej – plays Veronika Cz... Cztr... Cztr... You know who – w końcu się poddała.

Barbro bardzo polubiła Magdę. Nie tylko za to, że Polka wyeliminowała Czeszkę i uwolniła ją od konieczności wymawiania nazwiska, które sprawia kłopoty także nam. I nie tylko ona. Kiszczczyńską do dziś wspominają w Olecku jako grzeczną, miłą i zawsze uśmiechniętą dziewczynę. Również jako jedyną, która wygrała tam dwa razy.





Jak stąd do Australii

Trzymając w ręku setny numer „Tenisklubu”, trudno się domyślić, że magazyn powstał raczej w garażu niż w wielkim koncernie prasowym. Na reklamę w telewizji czy promocję na billboardach wydawców nie było stać, więc zapakowali do bagażnika pół nakładu i ruszyli w Polskę. Tak zostali kortokrążcami.

Jeździli od klubu do klubu i prawie wszędzie słyszeli to samo (że taki magazyn jest bardzo potrzebny, oczywiście też) – ludzie chcą grać w tenisa, ale nie tylko z wciąż tymi samymi znajomymi. Od słowa do słowa, między jednym wyjazdem a drugim, na Ursynowie zrodził się kolejny pomysł. Na chrzcie dostał imię „amatorski tenis polski” (kto je wymyślił, dziś już trudno ustalić). Skróć też był pisany małymi literami, aby ten nasz atp (atepe) odróżnić od zawodowego ATP (Ejtipi).

Magdalena Rejniak-Romer – w kontekście atp jej nazwisko musi paść – poszła z tym pomysłem do PZT. Prezesem był wtedy Waldemar Dubaniowski, którego nie trzeba było przekonywać, że dla polskiego tenisa będą z tego wyłącznie korzyści. Związek zapalił zielone światło, wsparł czym mógł i tak w 2007 roku powstała spółka, która przez kilka lat rozkręciła ruch tenisa amatorskiego na skalę nigdy wcześniej w Polsce niewidzianą. Później, niestety, też nie...

Sukcesy atp to nie tylko ok. 600 turniejów rocznie (statystycznie prawie tuzin w każdy weekend). To także wprowadzenie standardów organizacyjnych – piłki, nagrody, promocja dla organizatorów. Wydano ponad 1000 stałych (całorocznych) licencji i odnotowano ponad 12 tysięcy osób, które zagrały przynajmniej w jednym turnieju.



Wisienką na torcie były eliminacje do KIA Amateur Australian Open. Sponsor zapraszał do Melbourne reprezentantów 16 krajów wyłanianych w eliminacjach. Te w Polsce – dlaczego mielibyśmy nie wierzyć przedstawicielom koncernu? – były jednymi z najciekawszych, najlepiej zorganizowanych i promujących grę mieszaną. W wielu krajach ograniczano się bowiem do jednego turnieju kwalifikacyjnego i już. W Polsce były cztery, czasem nawet osiem, a kończył je masters i dopiero jego zwycięzcy mogli spełnić marzenie życia.

Szkoła Tenisa Tie Break obchodzi srebrny jubileusz. Przez ćwierć wieku na Ursynowie zmieniło się tak wiele, aby jedno mogło pozostać po staremu – rodzina Rejniaków nadal orze, sieje i zbiera. Kortami przy ul. Koncertowej zarządza Magdalena, najstarsza córka za-

łożyciela klubu. On sam rezyduje na Kabatach, chociaż coraz więcej miejsca oddaje najmłodszej Karolinie, która uczyła się zarządzania klubem na obiektach SGGW. Tylko Olga wybrała własną drogę, jednak od tenisa przecież się nie odwróciła.

Na złoty jubileusz trzeba niestety jeszcze trochę poczekać, ale chyba już teraz można zazdrościć kronikarzowi, który będzie opisywał 50-lecie Tie Breaka. Bo jednego możemy być pewni – Bernard Rejniak, jego córki i wnuki na pewno coś jeszcze wymyślą.

